

Doczekaliśmy się na zakończenie roku 1967 wielkiej inscenizacji „Dziadów” w Teatrze Narodowym. Niektórzy recenzenci wpadli w taki zachwyt, że Dejmkowską inscenizację „Dziadów” z Gustawem Holoubkiem w roli Gustawa-Konrada uważają za najlepszą ze wszystkich dotychczasowych — „prawdziwe „Dziady” 1967”!

Pisze się, że kreacja Holoubka to jedno z największych osiągnięć teatru polskiego. A złośliwcy w kawiarniach, dłubiąc w ptyskach z kremem dodają od razu, że to nic dziwnego, wszak Holoubek będąc od urodzenia Gustawem miał do zagrania tylko rolę Konrada... W każdym razie, gdy na te znakomitej scenografii Andrzeja Stopki Holoubek mówi:

— Daj mi rząd dusz — tak gardzę  
tą martwą budową  
którą gmin światem zowie i  
przywyki ją chwalić,  
Zem nie próbował dotąd, czyli  
moje słowo  
Nie mogłoby jej wnet zwałić.  
Lecz czuję w sobie, że gdybym  
mą wolę  
Scisnął, natężył i razem wy-  
świecił,  
Może bym sto gwiazd zgasił, a  
drugie sto wzniecił —

sam widziałem poruszenie w pierwszych rzędach, a niektórzy patrzyli w sufit, czy aby Holoubek pożaru budowlę teatralnej nie wzniecił...

A zatem „Dziady” mamy z głową, jest na co popatrzyć — jak mawiał Lucjan Kydryński, kiedy przedstawiał radiosluchaczom pewną seks-piosenkarzę.

**Korespondencja nie tylko z Intelkt-Zdroju**

# Teatralny remanent

ROBERT JAROCKI

Na przeciwnym biegunie — inne wydarzenie z grudnia 1967: „Jadzia wdowa” w teatrze Komedia. Wojciech Siemion, którego uwielbiam jako uroczego człowieka i wielkiego aktora, nie ma szczęścia do dyrektorstwa. Tuwimowska przeróbka mocno już zwietrzałej „Jadzi”, wyciągnięta z naftaliny mogłaby może bawić, gdyby przedstawienie miało innych aktorów, innego reżysera i inną scenografię. Jakże to się dzieje, że Alina Janowska i Wojciech Siemion w STS-ie, w teatrze półamatorskim dawali przedstawienia, których pamięci nie potrafią zatrzeć obecne smutne komedie na deskach teatru komercyjnego?

Jednakże ludzie walą na tę „Jadzie” i, o ile mi wiadomo, teatr Komedia na Żoliborzu nie narzeka na brak sukcesów kasowych.

Wróćmy do ogólnego problemu teatralnej lamigłówki. Dawniej głoszone często opinie, że w Warszawie nie utrzyma się dłużej za-

den kabaret o wyższym poziomie artystycznym. Tymczasem „Dla mnie bomba”, pierwszy, jak mi się zdaje program kabaretu „Owca” (sala „Szpilek” trwa już chyba trzeci rok, wciąż podając tę bombę pysznego humoru. Zespół: Jerzy Dobrowolski, Józef Nowak, Wojciech Pokora, Andrzej Stockinger, Jerzy Turek i Jerzy Dobrzyński — odniósł największy w historii powojennych kabaretów sukces artystyczny i chyba kasowy (choć salka niewielka). Było to możliwe dzięki przeciwstawieniu się panującej w naszej satyrze sztampie treściowej i wykonawczej. Jak ludzie są spragnieni dobrego programu kabaretowego świadczyło także powodzenie studenckiego kabaretu „Hybrydy”. Całkowicie zaimprovizowany program, prowadzony przez Jana Pietrzaka posiadał świeżość i aktualność tematyczną sięgającą śmiało najważniejszych spraw politycznych i społecznych. A młodzieńczość wykonania sprawiała, że publiczność bawiła się wspólnie z wykonawcami i nie

było tej bariery, która dzieli widownię od estrady, tak charakterystycznej dla programów kabaretowych „Lopka”, czy w mniejszym stopniu „Dudka”. Jednakże jakoś nie stychać o kontynuowaniu przez „Hybrydy” tej działalności, a Jan Pietrzak coś za bardzo ostatnio się rozchatturza w „Podwieczorkach przy mikrofonie”, podobnie jak popularny Wojciech Młynarski, „wielki felietonista polskiej piosenki”, którego grudniowy recital w Sali Kongresowej, był potwierdzeniem artystycznych możliwości tego aktora i piosenkarza w jednej osobie.

W każdym razie rok 1967 wybitnie ugruntował pozycję tego młodego artysty.

Wracając do spraw teatralnych polecam (z czystym sumieniem) dobrą zabawę na „Skizie” Zapolskiej — popis aktorski Gordon-Góreckiej, Łapickiego, Gogolewskiego i Soltysikówny. Interesujące jest przedstawienie „Pan Wokulski” wg „Lalki” Prusa, w reżyserii Adama Hanuszkiewicza.

Wielka polska aktorka Irena Eichlerówna daje koncert gry w „Panu Jowialskim”, spektaklu Teatru Polskiego, spektaklu, którego recenzencka ocena wywołała na łamach „Kultury” świetną ripostę Henryka Szletyńskiego oskarżającego recenzentów teatralnych o kilka grzechów, wśród których nieuctwo wydaje mi się najłżejszym zarzutem...

A propos recenzentów i krytyków teatralnych. Wystuchałem niedawno w radio dyskusji literackiej o polskim teatrze narodowym z udziałem młodzieży z

klas licealnych stołecznych szkół średnich im. Hoffmanowej i Sempołowskiej. Wielce pouczająca dyskusja. Nastoletni rozmówcy dyskutowali jak stare wygi. Stuchając ich miało się przeświadczenie, że już w ciągu 1968 r. ujawnią się następcy Jana Kotta Kontantego Puzyny, Romana Szydłowskiego, Zygmunta Grenia, Augusta Grodzickiego itd. Jedno mnie tylko raziło w tej audycji: język. Nastolatki mówiły takim samym językiem jak dorosli uczestnicy dyskusji — Adam Hanuszkiewicz i Witold Filler. Nie wiem czy to źle dla Hanuszkiewicza, czy gorzej dla przyszłych recenzentów?

I żeby zamknąć ten teatralny remanent roku 1967 akcentem optymistycznym trzeba jeszcze zanotować: niedawno Teatr Wielki w Warszawie sprzedał milionowy bilet. Posiadaczem biletu z numerem 1.000.001 okazał się inżynier-chemik Jerzy Ordon...

Mroźek miał rację, kiedy w „Śmierci porucznika” próbował pokazać dalsze życie Orдона, poetycznie, wbrew prawdzie uśmieconego przez autora „Dziadów”. Słyszałem, że niektórzy reporterzy warszawscy usiłowali dowiedzieć się czy Jerzy Ordon nie jest „z tych Ordonów”? Bardzo możliwe. Moja babcia opowiadała, że na Litwie w jej czasach działał wybitny szlachcic-patriota rozpoczynający przemówienia w salonnach w ten sposób: „mówi do was wnuk dziewczyny — Emilii Plater!”

Życząc wszystkim takiego rodzaju przesyłam pozdrowienia z okazji Nowego Roku. Aby do was wnosy!